

# Pakt z Chronosem

Artur Daniel Liskowacki  
**Kronika powrotu**  
Wydawnictwo FORMA  
Szczecin-Bezrzecze 2012

W jednym z esejów zamieszczonych w *Kronice powrotu* autor przywołuje zapamiętane z dzieciństwa przeżycie: mały Artur pochyla się nad kartką, na której narysowane są dwa kręgi, wyobrażające tory kolejowe i leżący wewnątrz cmentarz. Po torach tych bardzo szybko krąży pociąg, którego lokomotywa niemal się styka z ostatnim wagonem. Nie zatrzymuje się przy tym ani na chwilę. Pytanie, z którym chłopiec musi się zmierzyć, brzmi: jak dostać się na cmentarz, skoro pociąg cały czas jest w ruchu? Zagadka nie daje spokoju chłopcu. Kilkułatkowi, który nie doświadczył jeszcze grozy śmierci, wydaje się, że nie może mieć ona rozwiązania. Przeczuwaną, okrutną w swej nieuchronności prawdę zdradza mu wówczas kto inny: jedynym sposobem, by przedostać się na tamtą, drugą stronę, jest rzucenie się pod koła pociągu.

Obraz dziecka przeżywającego inicjację w świat rządzony prawami przemijania i śmierci potraktować można jako metaforę oddającą klimat najnowszej książki Liskowackiego: zbioru szkiców, których tematem jest nieustanna konfrontacja pisarza z upływającym czasem i doświadczaniem zmiany, tracenia, umierania. Pisząc o Wileńszczyźnie utraconej Konwickiego, Liskowacki zanotował:

„A utrata dana jest nam wszystkim. Właśnie: dana. Jako Raj – zawsze Utracony, ale także i Ziemia Obiecana. Do której wrócimy. Kiedyś. Jeśli starczy nam odwagi. Bo tylko taki powrót jest możliwy. «Wraca się tylko tam, dokąd wrócić nie można»” (s. 205).

Jak jednak wrócić do przeszłości, skoro czas biegnie cały czas naprzód? Osadzając swoje przemyślenia w teraźniejszości, pisarz z mistrzostwem operuje ironią i sarkazmem, nie szczędząc gorzkich słów na temat współczesności:

„Piszę to jednak w świecie zmienionym. W okno wystawowe, a może raczej w stronę internetowego sklepu, w którym jest wszystko. Należy tylko kliknąć w ikonkę towaru, żeby wszystko, czyli liczba mnoga, ukazało się jako rzecz pojedyncza, czyli coś. A jeśli się już ukazuje, musi zwrócić naszą uwagę i zachęcić do kupna. Rozkłada się więc przed nami, jak. Pozostaniemy przy owym jak. I bez konkretnych porównań rozkład jest widoczny. Książki zachowują się tak samo. Czyli jak towar. A dla sprzedania towaru trzeba wielu słów. Okładki obwoluty, skrzydełka – i ich wirtualne reprezentacje – roją się więc od słów jak trup od robaków. Paradoks polega na tym, że nic tego trupa tak nie ożywia, jak rojące się na nim słowa” (s. 9–10).

Wbrew tej szyderczej wizji zdevaluowanych wartości Liskowacki wpisuje się swoim pisaniem w nurt refleksji mierzącej się z nowoczesnym pojmowaniem czasu oraz pamięci, który bierze początek z wiary w magiczną moc literackiej opowieści. Na przekór czasom i światu *Kronika powrotu* wchodzi w głąb osobistej historii, zamkniętej w podtytule datami 2012–2002, sięgającej jednak zarówno do lat studenckiej młodości, jak i dzieciństwa autora. Ten zabieg odwrócenia datowania zyskuje wymowę symboliczną, podobnie jak przestawiony porządek konstrukcji książki, otwieranej przez część drugą, zamkniętą przez pierwszą. Proste formalne chwyt

pozwalają nam myśleć, że czytając, podążamy w przeszłość; że droga powrotu przez gąszcz słów i obrazów nasyconych detalem minionych przeżyć powadzi nas do źródeł. I choć dość szybko się okazuje, że tak nie jest, ponieważ teksty zgromadzone w *Kronice powrotu* nie są uporządkowane chronologicznie (szkice nie są datowane, łatwo jednak zauważyć, że ich porządek dyktowany jest logiką kompozycji całości, a nie kalendarzem), pozostaje wrażenie obcowania z czymś autentycznym, a zarazem bardzo nieoczywistym, bo podtrzymywanym w ulotnym istnieniu wyłącznie przez wątlą siateczkę znaczeń wysnutą ze słów. Bo słowa w *Kronice powrotu* istnieją dużo mocniej, wyraziściej i trwalej, niż te kruche sensory i znaczenia, rozpościerające się pomiędzy autorskim wczoraj i dziś:

„Kiedy byłem dzieckiem, miałem brzydki zwyczaj zaznaczania miejsc, w których kończyłem lekturę – lekkim potarciem zwilżonego śliną palca o słowo. Ślad był trwały. Drży we mnie myśl, że te ślady są tam bardziej niż wszystko, co już napisałem i co jeszcze (być może) napiszę. Są tam razem ze mną” (s. 34).

Eseistyczna *Kronika powrotu* to próba zmierzenia się z własnym widzeniem i rozumieniem świata, próba z założenia bardzo osobista, pisana z przeświadczeniem, że przeszłość nie jest tym, co się naprawdę wydarzyło, lecz tym, co z niej zapamiętujemy i co tworzy nas jako osoby, synów, ojców, pisarzy, intelektualistów:

„Są dwa punkty widzenia w patrzeniu na eseistykę, która przedstawia świat – ukazując miasta, krajobrazy, innych ludzi i ich dzieła – nie tylko nie kryjąc osoby autora, narratora, ale i sytuując go na pierwszym planie. Bez udawania, że jego patrzenie na świat, sztukę, historię jest spojrzeniem z zewnątrz, a przeciwnie, z podkreśleniem, że to widzenie od środka. Od siebie. Poprzez pryzmat własnych doświadczeń i praw” (s. 219). Tytuł zbioru Liskowackiego odsyła do *Kroniki wypadków miłosnych* Tadeusza Konwickiego,

z której zaczerpnięty motyw nostalgicznego powrotu do utraconej krainy młodości przewija się przez eseje Liskowackiego. Czytelnik obeznany z twórczością pisarza uzna *Kronikę powrotu* za dopełnienie portretu mistrza słowa, który w tym tomie odślania się w stopniu dużo większym, niż czyni to narrator pisanych równolegle ze szkicami opowieści literackich. Choć bowiem niewątpliwie mamy do czynienia z narracjami wysokiej literackiej próby, to przecież o ich odrębnej jakości stanowi też autobiograficzna pozycja opowiadającego. Ten subiektywizm usprawiedliwia formułowane w esejach sądy stronicze, niekiedy jawnie niesprawiedliwe, często dyskusyjne. Są w tej książce fragmenty gorzkie i sarkastyczne, takie jak ten o przedstawicielach życia publicznego wydających dziś książki, by doznać złudnej nobilitacji. Postulowanie się porównaniem profanującego literaturę amatora literackiej sławy do gwałciciela gardzącego krzywdzoną przez siebie piękną kobietą dobrze oddaje subiektywny, emocjonalny ton wypowiedzi autora ubolewającego nad współczesnym upadkiem kultury i wrażliwości:

„Dziwne, a może właśnie niezrozumiałe zjawisko; wynoszenia się za pomocą «bycia literatem» – i wydawania książek pod swoim nazwiskiem, choćby w rzeczywistości ich autorem był wynajęty skryba – przy równoczesnej, rosnącej pogardzie nie tylko dla literatury, lecz i słowa pisanego w ogóle.

Dziwne, bo paradoksalne. Ale zrozumiałe, bo reakcją dość typową jest pogardzenie tym, co udało się nam już zdobyć. A co się nam wcześniej zdawało trudne do zdobycia – wysokie, z głową w obłoku. Gwałt na urodziwej kobiecie podszyty jest pogardą. Kończy się też pogardą: już cię miałem, malutka. No i powiem ci, że to nic szczególnego.

Wszystkie jesteście kurwy” (s. 38).

Pisarz rejestruje zmiany kulturowe, które – w jego odczuciu – rozdzieliły czas na opatrzone +

dotatnim znakiem wartości wczoraj tradycji i poddawane przez niego krytycznej ocenie dziś nowoczesności. Dziś mamy e-maile, SMS-y, które wyparły korespondencją odręczną, telefonią komórkową i hipermarkety będące współczesnymi rogami Amaltei. Dawniej bycie pisarzem było czymś wyjątkowym, słowa miały swoją wartość, ludzie czytali książki i odręcznie pisane listy. Nic dziwnego, że w tak zarysowanej perspektywie o upływającym czasie myśli się w kategorii nie tylko zmiany, ale i utraty, a człowiek, bogaty w gadżety i materialne dobra, jest intelektualnym i duchowym nędzarzem:

„Dawna wyjątkowość bycia pisarzem – cóż z tego, że nie było w niej nic specjalnie wyjątkowego – otaczała autorów nimbem niemal boskim. Do dziś krążą opowieści (choć krążą jedynie w kręgach, które to krążenie są w stanie zagwarantować, a które to kręgi same mają kłopoty z krążeniem) o wyłysiałych, bezzębnych poetach, którzy po każdym spotkaniu autorskim – na wyjeździe zwłaszcza – przebierać mogli w dziewczynach jak w ulegalkach. Bo też lęły się one pod nimi masowo, choć i niedługo zalegały.

Poetów (prozaików zresztą też) zastąpili w tej mierze idole kultury popularnej – i darmo płakać nad zmianą obyczajów” (s. 39).

Rzec by można, że mechanizm idealizowania przeszłości kosztem zawsze mniej atrakcyjnej, mniej wartościowej czy wręcz odpychającej współczesności jest zjawiskiem powszechnym, poświadczającym tyleż upadek kultury, co następującą z wiekiem zmianę sytuacji piszącego, któremu po prostu przybywa krytycyzmu i lat. Jednakże tym, co w tych szkicach, będących subiektywnym zapisem doświadczenia zmiany, nieaspirujących więc do rangi społecznej czy kulturoznawczej diagnozy, fascynuje najbardziej, jest język. W narracji Liskowackiego daje o sobie nieustannie znać lingwistyczne wyczulenie na sensy, które sam język programuje. Jego

eseje obfitują w paronomazje, zeugmy i figury etymologiczne. Autor z upodobaniem sięga po homonimy, budując na nich retoryczne konstrukcje. Wysnuwa obrazy, fabuły i zaskakujące konkluzje z gry pozornie przypadkowo spotykających się słów. Na przykład odwołując się do słów nauczycielki, która brak żywności kwitowała po rosyjsku stwierdzeniem o chlebie i wodzie wykluczających głód, wykorzystuje – nasuwającą natychmiast skojarzenie z frazą Barańczaka – homonimię słowa „racja”: „Pewnie miała rację. Chociaż to nie była jej racja. Ta racja żywnościowa, te porcje więzienne, obozowe, łagrowe” (s. 69). I zaraz sam siebie mityguje: „Czy to aby nie nadmierny głód skojarzeń?” (s. 70).

Obfitość figur retorycznych (porównywalna gęstością i wielością znaczeń do utworu poetyckiego) niekiedy sprawia wrażenie uległości językowi, który sam zdaje się prowadzić autora po wytoczonych przez siebie ścieżkach i bezdrożach. Niebywała maestria tych tekstów polega jednak na tym, że pisarz ani na chwilę nie traci kontroli nad słowem; świadomie pozwala się prowadzić językowi, który wcale nie wie na manowce, lecz odsłania to, co istotne: jakąś ukrytą, nieoczywistą prawdę o świecie, którą kamuflują wyświechtane etykiety bezwładnego języka, a którą czujny i uważny użytkownik o wrażliwości poety – taki jak Liskowacki – natychmiast wychwytuje i przekształca w wyrafinowaną grę o najwyższą stawkę.

Niby więc pisarz idzie za językiem, ale dyskretnie ściągając lejce językowych skojarzeń, nieustannie intelektualizuje i programuje tę podróż: kwestionuje stwierdzenia pozornie jednoznaczne i oczywiste. W ten sposób język wzmacnia stanowisko pisarza, uwiarygodnia jego poglądy, czyniąc je jednak nie tyle apodyktycznym odautorskim sądem, ile efektem twórczej symbiozy horyzontu wyznaczonego przez doświadczenia piszącego i denotacyjne możliwości słowa. Oto

próbki tej techniki, w której naturalna predyspozycja języka do rozmywania i odkonkretniania sensu okiełznana zostaje przez precyzyjne, nieomal od niechcenia wykonane posunięcia mistrza słowa:

„Książki dla dzieci nie mają autorów. Mają dzieci. Książki dla małych dzieci, które zostają w nas na zawsze – jakże mi sprzyja w tej dwuznaczności gramatyka – bo zostają w nas i książki, i dzieci – nie powinny mieć autorów szczególnie” (s. 51). „My, słudzy Telefonii (Teofanii, która otwiera nam nie oczy, lecz uszy?) ustępujemy jej krok po kroku. Usługa komórkowa po usłudze. Większość tych, którzy kupowali telefony mówiąc, że nie będą korzystać z esemesów, prędzej czy później zmienia zdanie. W takie na przykład zdanie pierwsze rzucające w komórkowy świat; właśnie się ucze wysyłania sms to łatwe! Grzeszne alibi dla konwertytów: zabawa. Esemesowanie to zabawa w pisanie i czytanie” (s. 57).

W ten sposób język, jego głęboka struktura i sprawnie działająca w ukryciu maszyna nie dekonstruuje, lecz wzmacniają jednostkowe sensory, które w eseistycznej narracji Liskowackiego rozsnuwają się na powierzchni:

„Miało być o miejscu literatury w rzeczywistości (niereczywistości), a jest o miejscu literatury w nas. Jeśli rzeczywiście jesteśmy jeszcze miejscem na literaturę. Choćby była – chociaż jest – niereczywistością” (s. 43).

To zatem nie przypadek, że powrotny ruch pamięci poprzestać musi na literackich reprezentacjach przeszłości, a każda próba pokonania czasu kończy się klęską i konstatacją utraty, dla której książkowe światy nie są alternatywą, lecz poczekającym, ważniejszym może nawet od rzeczywistości, uzupełnieniem. Pisarzowi, świadomemu nieuchronności zmian, pozostaje na pocieszenie wędrówka w głąb pamięci i literatury, tropienie śladów, znaków minionego życia,

w których pozostały okruchy przeszłości, z jej nasyceniem detalem, grozą, tajemnicą i oczekiwaniem na to, co nieodgadnione.

Eseje zgromadzone w najnowszej książce Artura Daniela Liskowackiego to próby odzyskiwania utraconych chwil, wartości, a także kultury w kształcie niezmiennym przez konsumpcję w barwne targowisko próżności. W tekstach, pisanych na przestrzeni jednej dekady XXI wieku, komentarze na temat aktualnego stanu rzeczy i świata nieustannie konfrontowane są z przesyconym nostalgicznym poczuciem przemijania widzeniem przeszłości. Przeszłości, dodajmy, świadomie idealizowanej, szkicowanej przez osobę o wrażliwości ukształtowanej przez literaturę, która wciąż traktowana jest jako najważniejszy punkt odniesienia i miara wartości rzeczy. Jest ta książka także opowieścią o życiu: o życiu zapisanym w książkach; ich światach, żywych i rzeczywistych bardziej od realności, oraz o wierze, że dzięki książkom to, co raz przeżyte, spisane w nich, będzie żyło nadal, umożliwiając powrót do czasu utraconego.

Ot, taki pakt z Chronosem, w który wciąż jeszcze niektórzy czasem wierzą. (Jak dzieci?) Dlatego czytają albo piszą książki.

**Elżbieta Winięcka**